

Rok 1941. Przygotowania do wojny rosyjsko - niemieckiej

Na przełomie roku 1940/1941 zima była łagodna. Gdzieś w czasie miesiąca lutego, a może marca śniegu było już bardzo mało. I ten w ciągu dnia topniał, tworząc na ulicach małe bajorka, które nocą ścinał mróz. Naprzeciw mojego domu przy Wołoskiej 97 stało kilku mężczyzn, moich sąsiadów. Jeden z nich - o ile sobie przypominam - Józef Bocian, Rusin, chociaż o czystym polskim nazwisku, demonstrował zalety pasty do butów zwanej szwarcem. Demonstracja polegała na tym, że wymieniony wchodził w błyszczących, świecących się butach do bajora, którego lód ustępował pod ciężarem ciała, a grube krople wyciśniętej spod lodu wody spływały po skórze niemal po jakiejś natłuszczonej blasze. Za czasów bolszewickiej okupacji trudno było nawet zdobyć ów szwarc. Najczęściej ludzie robili pasty do butów we własnym zakresie, używając do tego sadzę z komina oraz jakieś tłuszcze w rodzaju smalcu, czy słoniny.

Przysłuchiwałem się prowadzonym przez tych paru mężczyzn rozmowom. Wujek mój, Franciszek Trojan, mówił do obecnych ścisłym głosem, że idzie wieść, iż Rosjanie budują w rejonie granicy z Niemcami, a więc w rejonie Rawy Ruskiej i Sokala, ogromne linie fortyfikacyjne, co też świadczyć powinno o tym, że przygotowują się do wojny z Niemcami.

Dla potwierdzenia tych informacji niebawem zaczęto werbować i zmuszać do wyjazdu w rejon Sokala wielu mężczyzn, a nawet kobiet wraz z furmankami i zaprzęgiem konnym oraz sprzętem w rodzaju łopaty, kilofów itp.

Zabrano mojego brata, Przemysława, wraz z naszą klaczą. Złączyli ją z innym koniem do jednego wozu. Ten drugi koń był własnością niedalekiego sąsiada Gienka Kapija, który był jakby zmiennikiem brata, albo odwrotnie. Pojechali razem. Ojca też zabrali, z tym że powierzyli mu czyjeś obce konie, którymi w ten sposób musiał furmanić. Łączenie koni podyktowane tym, by z pary zabrać jednego, a drugiego pozostawić na gospodarstwie, aby nim wykonywać prace rolne. Na przykład u nas pozostała w stajni druga klacz i jej już nam nie zabierano.

Wspomniany wujek Trojan, też nie został pominięty w werbunku. Pojechała Józefa Mazurek, chociaż nie wiem, dlaczego ona, a w domu pozostał jej mąż. W każdym razie sporo ludzi wraz z furmankami zmuszonych zostało do udania się w rejon granicy z Niemcami.

Od wielu dni nie mieliśmy od nich żadnych wieści. Nie wiedzieliśmy, co robią i czy w ogóle żyją. Z różnych artykułów "Czerwonego Standaru" (jedynej gazety wychodzącej we Lwowie w języku polskim) można było jednak skonstatować, że wielka przyjaźń niemiecko - rosyjska zaczyna pękać i się kruszyć. Rosjanie wyraźnie stanęli po stronie Jugosłowian, którzy bronili się przed wkraczającymi do ich kraju Niemcami. Wychwalali bohaterstwo obrońców Zagrzebia czy Belgradu. Były to więc wyraźne symptomy wskazujące, że pakt Ribbentrop - Mołotow rozpada się i przestaje istnieć, a co zatem idzie że przyjacielskie strony stają się wrogimi sobie.

W rejonie granicy trwały w tym czasie intensywne prace. Kopano rowy przeciwczołgowe, budowano gniazda betonowe, w których montowano ciężkie karabiny maszynowe i działka przeciwpancerne, maskowano wszystko to bądź darnią, bądź rozsiewem jarego zboża. Każdy z zaangażowanych do prac miał wyznaczoną normę. O ile pamiętam - z opowiadania brata - miał wykopać rów przeciwczołgowy o długości 5 metrów, szerokości też chyba pięć i głębokości trzy metry. Nadzorujący obiecywali, że jeżeli ktoś swoją normę wykona, zostanie zwolniony i będzie mógł

wrócić do domu. Wielu podjęło pracę z pełnym zapałem, pragnąc czym prędzej znaleźć się przy rodzinie. Z tych obietnic - jak się później okazało - były przysłowiowe nici. Stąd najmądrzejszym wydawał się być obecny tam mój z trzeciego domu sąsiad, Piotr Pitula, który więcej odpoczywał niż kopał. Jego działka w ten sposób służyła do wchodzenia i wychodzenia z głębokich sąsiednich dołów, które już osiągnęli tam pracujący.

Brat mój, Przemysław, po pewnym czasie pobytu postanowił uciec do domu. Zaraz wieczorem, a było to 20 czerwca 1941r, wraz z kolegą, wspomnianym Kapijem, krętymi drózkami bocznymi ruszyli na wschód, w strony rodzinne. Jechali całą noc i potem cały dzień, by pod sam wieczór dnia 21 czerwca zjawić się w miejscu zamieszkania. Pamiętam dobrze tę chwilę. Klacz nasza została wprowadzona do stajni, stała przy żłobie i nie jadła, była chora. Cała się trzęsała. Skóra jej, jakby jakimś szarpańcem targana, drgała bez przerwy. Nogi się trzęsły. Zwierzę było całkowicie wyczerpane, bo i nic dziwnego - przez prawie dwadzieścia cztery godziny bez przystanków musiała biec i jeszcze ciągnąć za sobą wóz. Żał mi było okropnie zwierzęcia. Dobrze, że nie było ojca, gdyż byłby pewnie przeżywał wszystko daleko mocniej aniżeli my. Byliśmy jednak zadowoleni, że udało się bratu uciec i że znalazł się wśród nas. Od niego właśnie dowiedzieliśmy się też, że ojciec żyje i że nosi się z takim samym zamiarem ucieczki. Gdyby więc klacz była nawet padła, byłibyśmy bratu wybaczyli. Działał przecież w obronie własnego życia. Na szczęście klacz po paru dniach wyzdrowiała.

Opowiadał brat, jak owe rowy przeciwczołgowe kopano na długości wielu kilometrów, jak zaraz za nimi można było spostrzec bunkry betonowe, gniazda karabinów maszynowych, okopy dla piechoty itp. Przy samej granicy istniał pas ziemi codziennie bronowanej, by straż graniczna mogła stwierdzić, czy ktoś przekraczał granicę. Obok tego pasa istniała wstęga ułożonych grubo gałęzi, przez które przejście stawało się utrudnionym, gdyż trzeszczały przy każdym ich dotknięciu. W każdym razie w świetle tych bezsprzecznych faktów trudno się było potem zgodzić z tym, co propaganda sowiecka głosiła, a mianowicie, że Rosjanie zostali całkowicie przez Niemców zaskoczeni i stąd ich niepowodzenia w pierwszych starciach. Rozpowszechniano, że Stalin do końca nie wierzył i nie zakładał w swoich planach, że Niemcy uderzą na przyjazny im Kraj Rad. Jakże jednak mógł nie zakładać, skoro za jego wiedzą i z całą pewnością aprobatą budowano owe umocnienia, ową linię obronną. Zresztą - jak opowiadał brat - Niemcy w tym czasie już niemal codziennie naruszali granicę sowiecką i było całkiem czytelne to, że mają w tym jakiś określony cel. Samolot niemiecki nadlatywał na niskim pułapie nad pracujących przy umocnieniach ludzi, robił zapewne zdjęcia i znikał za granicą po swojej stronie. Stwierdzono również częste przejścia, wydaje się szpiegów niemieckich, przez granicę w kierunku wschodu.

Opowiadaniom brata nie było końca. Zmęczeni, ale uszczęśliwieni nadzieją, że chyba wojna niebawem nastąpi i zniknie koszmar terroru bolszewickiego, poszliśmy spać. Nad ranem mój najstarszy brat, Mieczysław, pociągnął mnie za rękę i, budząc, krzyknął: "Wooojna !" Wyskoczyłem z łóżka jak z procy i wspólnie znaleźliśmy się na podwórzu. Niebyło żadnych wątpliwości, faktycznie to była wojna. Na kierunku wioski Adamy co rusz niebo rozświetlane było różnymi rozbłyskami. Głuche detonacje potwierdzały, że to nie festynowe fajerwerki lecz bomby. Było to gdzieś około godziny trzeciej nad ranem. Jak się później dowiedziałem, Niemcy zaatakowali rosyjskie lotnisko w Adamach, niszcząc kilkanaście samolotów. Te, które pragnęły się ratować i dokonały startu w powietrze, zostały strącone przez niemieckie myśliwce. Wraki i jednych i drugich, rozsiane szeroko w obrębie lotniska, dawały świadectwo całkowitej klęski awiacji sowieckiej, tej samej, które bez mała dwa lata wcześniej, jak głosili Sowieci, tak dzielnie rozprawiała się z samolotami polskimi.

Lotnisko we wsie Adamy było też przecież jednym z elementów systemu obronnego zachodniej granicy sowieckiej. Było to typowe lotnisko wojskowe. Tysiące bomb było tam ułożonych pomiędzy drzewami, z których żadna nie spadła na Niemców. Spadały te bomby na Sowieców. Niemcy wywozili je potem do stacji kolejowej Krasne, a stamtąd w kierunku frontu, by je zrzucić na czerwonoarmistów i ich wojskowe obiekty. Sowieci przygotowywali też następne lotnisko obok Buska. Ono również znalazło się pasie obronnym. Lotnisko to budowano w rejonie pomiędzy dzielnicą Buska Podzamcze, a wioską Kupcze. Wyjątkowo żyzne tam pola zostały przeorane i obsiane trawą. Obok wybudowano bunkry, które Sowieci rozwalili przed opuszczeniem miasta. Było to pewnie lotnisko zapasowe dla Adam.

Zaczęło świtać. Robiło się coraz jaśniej. Zbliżał się dzień. Wraz z nim radość i nadzieja. Nikt już nie spał. Wszyscy mieszkańcy, tym razem na pewno i Żydzi, ustawicznie spoglądali w błękitne niebo. Tylko ono mogło dać atest zbliżającego się końca bolszewickiego terroru. Gdzieś przed południem usłyszałem kolejny już raz warkot samolotów. Zadarłem głowę do góry. Ujrzałem dwa naprzeciw siebie lecące samoloty. Zaterkotały karabiny. Niemiecki dwusilnikowy bombowiec w pewnym momencie znurkował w dół, a kiedy znalazł się pod brzuchem rosyjskiego myśliwca sypnął w ten brzuch serią. Z samolotu rosyjskiego buchnął po dwakroć razy dym i zaraz potem wyskoczył zeń pilot ze spadochronem, a samolot runął w dół. Pilot wylądował na łące koło Bugu, skąd zabrano go do szpitala urządzonego w tym czasie na plebanii. Miał podobno złamaną nogę, co mu się zdarzyło przy lądowaniu. Niebawem też kilka bombowców niemieckich przelatywało tuż nad naszymi domami, a myśmy machali do nich rękami. Widzieli nas piloci, bowiem nie kryliśmy się wcale, przeciwnie, chcieliśmy, by nas widzieli i pojęli zarazem, że jesteśmy im wdzięczni za podjęcie walki z naszym wspólnym wrogiem, zapominając chwilowo jakby o WRZEŚNIU. Nie baliśmy się nawet donosicieli, którzy mogli nas zadenuncjować NKWD. Wulkan radości był ogromny i powszechny wśród Polaków i Rusinów.

W drugim czy trzecim dniu wojny niemiecko - bolszewickiej zauważyłem dopiero co rozbity kolejny samolot sowiecki. Tenże wystartował z pomocniczego lotniska Podzamcze - Kupcze i niefortunnie zaczepił o komin cegielni usytuowanej nad Bugiem, by w sekwencji tego runąć i roztrzaskać się na obok rozkwitłej łące, tuż przy rzece. Przeskoczyłem Słotwinę, przebiegłem kawałek łąki, przepłynąłem Bug i znalazłem się przy rozbitym samolocie. Samolot był przewrócony, stercząc kołami do góry. Dwaj piloci leżeli martwi, w pozycjach zwiniętych w kłębek, kilkanaście metrów przed samolotem. Dookoła kręciło się wielu ciekawskich, a może też i mających inne zamiary. Widziałem, jak jeden z młodzieńców wy dobył z kabury nieżyjącego pilota rewolwer, ukrył go pod koszulę i zmykał w stronę zabudowań Podzamcza.

Nie opodal wraku leżała blacha aluminiowa wielkości ca 100x60cm. Wziąłem tę blachę z zamiarem zrobienia z niej daszku nad ulem. Po dotarciu nad Bug, postanowiłem swoją blachę umyć nieco, gdyż była mocno wysmarowana jakimś ciemnym smarem. Przy pomocy piasku udało mi się usunąć większą część smaru, a blacha nabrała świeżego srebrzystego połysku. Podczas mycia blachy zabrudziłem sobie ręce. Postanowiłem zatem doprowadzić je do stanu przybliżonej czystości. Blachę odłożyłem na bok, nabierając do rąk garść piasku i wycierając w nim ręce. Zaraz też spostrzegłem, że moją blachę porwał prąd rzeczny. Znikła w głębokiej topieli Bugu, która rozciągała się opodal. Straciłem w ten sposób swoją zdobycz, a warkot nadlatujących samolotów skłonił mnie do opuszczenia miejsca i udanie się do domu. Ponownie przepłynąłem Bug i ponownie pomiędzy spłoszonymi motylami i brzęczącymi pszczołami, którym przerwałem czynności ssania nektaru z

licznie rozłożonego tutaj kwiecica, przebiegłem łąkę, przeskoczyłem maleńką Słotwinę i już matce i ojcu opowiadałem o zdarzeniu.

W dniu następnym powtórzyłem wyprawę do wraku samolotu z utraconym skrzydłem. Nie było przy nim już zwiniętych w kłębki znieruchomiłych lotników. Kilku młodzieńców coś tam grzebało wewnątrz. Ja tymczasem zbliżyłem się do podobnej z dnia poprzedniego blachy chociaż trochę większej. Decyzję podjąłem szybko. Do blachy zaczepiłem kawałek sznurka i niczym sanki pociągnąłem za sobą do brzegu rzeki. Płynąłem z uwiązaną blachą też bez większych przeszkód. W parę dni później mój ul (miałem już pięć pełnych pszczoł-uli) został przykryty lśniąca blachą aluminiową wzmocnioną od spodu żeberkami, przytwierdzoną do ula, by nie porwał jej wiatr.

Od tego momentu nie widziałem już w powietrzu choćby małego samolociku z czerwoną gwiazdą na kadłubie i pod skrzydłami. Brzęczały jedynie szybkie zwiadowcze samoloty niemieckie. Wyły, zawodząc głuchym pomrukiem, ciężkie bombowce, wciąż przelatujące na niskich pułapach, nad pięknymi brzegami rzek i kwitnących łąk, dojrzewających zbóż, pachnących sadów. Promienie słoneczne potęgowały radość. Przyroda sprzyjała Niemcom.

maj 1993 r. Ludomił Szubartowicz